Nr. 2. We Lwowie dnia 13. stycznia 1896. Rok 4.

# TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

# Aleksander Świętochowski

(z powodu 25-letniego jubileuszu).

Nadeszła pora jubileuszów dla tych, których niedawno jeszcze nazywano »młodymi«. Uczczono Orzeszkową i Chmielowskiego, przypomniano dotychczas nieocenionego właściwie Sygietyńskiego, pomyślano o nadchodzących jubileuszach Prusa i Sienkiewicza, a przed kilkoma tygodniami wielbiciele talentu i zasług Świętochowskiego, w 25-tą rocznicę jego działalności pisarskiej, wręczyli mu adresy, licznymi opatrzone podpisami i zamierzają wydać książkę zbiorową oraz złożyć pewną sumę na stypendjum imienia jubilata.

To nie gromadka znakomitych pisarzy-rówieśników obchodzi wesele srebrne z literaturą, to niezmiernie ważny, nowy okres naszego rozwoju umysłowego i społecznego, dziś już bodaj skończony, staje w tej dobie jubileuszów, jako całość jednolita i domaga się nietylko hołdów, ale i sprawiedliwej oceny. Niepodobna w pobieżnej wzmiance oceny takiej dokonać, można tylko zaznaczyć kilka rysów znamiennych tej epoki, rzucić garstkę myśli i uwag luźnych, które kto inny może uwzględni, rozwinie i uzupełni.

Smutny był stan umysłowy społeczeństwa naszego w zaborze rosyjskim po powstaniu r. 1863. Obficie upuszczono mu krwi najzdrowszej, straciło bezpowrotnie lub oderwano od niego na czas dłuższy najlepszych, najdzielniejszych synów, wszystkich tych, którzy wyróżniali się polotem myśli, zapałem, energją, którzy posiadali w wyższym stopniu najbardziej rodzime, polskie właściwości genjuszu i temperamentu narodowego.

Zostali się niemal wyłącznie ludzie niedołężni, lękliwi i obojętni, albo tacy, którzy umieją nagiąć się, przystosować do wszelkich okoliczności, chociaż i takich wezbrana fala zapału powszechnego uniosła.

Na szczęście, została wyższa szkoła polska, która z podrostków powinna była wykształcić przyszłą inteligencję kraju. A trzeba było nietylko opuszczone posterunki zająć, ale stanąć i na tych, które wytworzył jednocześnie z powstaniem dokonany przewrót w stosunkach społecznych i ekonomicznych.

Jubilaci dzisiejsi byli wyrostkami w czasie powstania. Za młodzi, żeby brać w niem udział (wyjątek stanowi Prus), wcześnie dojrzeli w gorącej atmosferze owej epoki, a następnie wcześnie ochłodli i otrzeźwieli pod wrażeniem klęski i ruiny. Zrozumieli, a raczej odczuli doniosłość katastrofy i widzieli jej skutki, ale nie mieli ani doświadczenia, ani nauki, żeby mogli ocenić trafnie zbyt świeżą przeszłość i znaczenie nowego zwrotu w stosunkach społecznych.

A przez szkołę i po za szkołą dochodziły z zagranicy nieco spóźnione odgłosy wielkiego ruchu naukowego. Dotychczas tłumiły te echa pienia hymnów narodowych, zgiełk manifestacji ulicznych, wesołe piosnki powstańcze i wrzawa bojowa. W ciszy dopiero zabrzmiały one donośnie, rozległy się w pustkach i ruinach ze zdwojoną siłą.

Młodzież musi mieć zawsze jakąś ideę, której służy, którą z zapałem propaguje. Z głośnych wówczas doktryn naukowych, z postulatów wojującego materjalizmu, z zasad filozofji Comte'a, z realizmu literackiego ułożono tę mieszaninę, która dostała później nazwę pozytywizmu warszawskiego.

Była to jednak doktryna nie tylko filozoficzna i naukowa, ale i społeczna. Młodzi widzieli wielką zmianę w stosunkach społecznych i ekonomicznych, której przyczyną było uwłaszczenie włościan i szybki wzrost mieszczaństwa, zależny od pomyślnego rozwoju handlu i przemysłu, a poniekąd od bankructwa szlachty, która stra-

ciła stanowisko przodujące. Znaczenia tego przewrotu, powtarzam, nie oceniali właściwie, nie uświadamiali sobie go dokładnie, ale rozumieli, że po wielkiej katastrofie i jej następstwach, które dotychczasowy układ stosunków zburzyły, wziąść się trzeba do pracy, ocalić to, co w dobrym stanie zostało, uprzątnąć zwaliska i gruzy i budować na nowo, o ile okoliczności na to pozwolą. Nazwano to »pracą u podstaw«, a później »pracą organiczną«. Praca organiczna, twórcza jest dla każdego społeczeństwa konieczną, bez niej żyć ono długo nie może. Nawiązanie nici łączącej prąd nowy z tradycją organicznej pracy społecznej w dobie przed powstaniem było pożądanem.

Błąd tkwił w tem, że z tego zadania zrobiono program polityczny, a bardziej jeszcze w tem, że ogłoszono ten program za jedyny i nieomylny. Ponieważ odpowiadał on w tej dobie interesom wysuwającego się naprzód mieszczaństwa, zyskał prędko popularność nawet w tych sferach, które z pozytywizmem warszawskim nic wspólnego nie miały.

Ale nie można mówić, że ów prąd umysłowy i społeczny, którego przedstawicielami w literaturze byli dzisiejsi jubilaci, miał wyłącznie charakter mieszczańsko-liberalny. Nie znali oni krytyki liberalizmu europejskiego, bo wogóle nie mieli wiadomości gruntownych z nauk społecznych, nie mogli jednak, chociażby chcieli, przyjąć haseł jego i zasad, mocno już wówczas w Europie podkopanych, bo w warunkach realnych nie było dla nich miejsca. Wzięli więc z liberalizmu to, co się wziąć dało i co ma ogólno-ludzkie znaczenie: wolność myśli i krytyki, poszanowanie indywidualności i nie zawsze właściwie stosowaną — zasadę walki z tradycją i klerykalizmem.

Aleksander Świętochowski był chorążym tego ruchu, przez czas jakiś nawet uznanym jego przewódcą, a niewątpliwie najwybitniejszym przedstawicielem. Inni bowiem, którzy dorównywali mu, albo nawet przewyższali go talentem, opuszczali posterunki, zmieniali lub modyfikowali przekonania, dawali folgę upodobaniom artystycznym, on jeden najdłużej stał na stanowisku, najdzielniej walczył. Świetny stylista, niezbyt głęboki i oryginalny, ale subtelny myśliciel, nieporównany djalektyk Świętochowski przez długi czas zaniedbywał działalność naukową i artystyczną i był przeważnie publicystą. Posiada on w wysokim stopniu wszystkie przymioty i właściwości szermierza nowych zasad, wytrawego bojownika, wyjeżdżającego na harce lub na walkę osobistą z przeciwnikiem. Zasady, których bronił, nie mogły budzić wiary i zapału. Ale on miał w usposobieniu bezwzględność, która zastępuje wiarę i namiętność, która jest najlepszym surogatem zapału. Obdarzony umysłem jasnym i trzeźwym, z pozoru chłodny, a właściwie panujący nad sobą, zręcznie odbija ciosy, szybko odkrywa słabą stronę przeciwnika i wymierza w nią cios ręką pewną. Rozsądny i powściągliwy w życiu prywatnem, stroniący od ludzi, nie skalany żadnym frymarkiem, ma w większości wypadków niewątpliwą przewagę moralną nad przeciwnikiem i nie może być przedmiotem napaści osobistych.

(Dok. nast.).

---

# LETKIEWICZ.

## SYLWETKA

PRZEZ

## KLEMENSA JUNOSZĘ.

Rzeczywiście nazywał się on inaczej, ale ponieważ głównie pod tym przydomkiem ludzie go znali, niech więc i we wspomnieniu niniejszem Letkiewiczem zostanie.

Tak ta nazwa do niego przyrosła, tak popularną się stała w małym światku, w którym się obracał, że nie sposób mu jej odebrać.

Szczerze mówiąc, przydomek Letkiewicz był przedewszystkiem darem familijnym, ofiarowanym wesołemu siostrzeńcowi przez poważnych wujów i surowe ciotki; z czasem darowizna ta zyskała zatwierdzenie ze strony ojców i matek, mających córki na wydaniu, a w ostatniej instancji uznała ją wielka opinja niedużego miasta i okolicy jego w kilkumilowym promieniu.

Nawet najmniejsza mieścina ma swoją wielką opinję, a takiej powadze niepodobna się sprzeciwiać i trzeba jej wyrok przyjąć bez szemrania.

Kto znał w swoim czasie dwóch wujaszków Letkiewicza i dwie jego ciotki, wiedział, że są to mężowie i damy z dobrem sercem; nie było też dla nikogo sekretem, że kiedy Stasiek, mając dwanaście lat życia, stracił rodziców i został na świecie sam jeden, bez funduszów i bez sposobu do życia, wujowie pospieszyli natychmiast — i z książęcą hojnością dawali mu... nauki moralne.

Nie jest to wina wujów ani ciotek że te perły odskakiwały od chłopaka, jak groch od ściany. — Wogóle był on dla swych krewnych przedmiotem ciężkich zmartwień.

Młodsza z ciotek jego, pani Adamowa, wdowa po wujaszku Adamie, dotychczas staruszka jeszcze w dobrem zdrowiu żyjąca, lubi opowiadać, jak ciężkie utrapienie miała ze swym siostrzeńcem.

Jest dzień letni, godzina czwarta po południu; najwłaściwsza pora podwieczorku dla osób, jadających obiad, według dobrego starego obyczaju w samo południe, o dwunastej.

# Akordy jesienne.

IV.

W blaskach świtu duch młodości zza jesiennych mgławic [wstał —
Idzie ku mnie z łąk zapachem, z barwą kwiatów, z szumem [drzew;
Fale żyta płyną za nim, niby setnej rzeki wał,
Świeże bruzdy w ślad się dymią, skowrończany strzela [śpiew.

* * *

Idzie ku mnie, jakby wiatru marcowego dmący zew —
Z nadziejami idzie ku mnie, które w łona sennych ciał
Zapragnęły w lwim porywie wlać heroów wrzącą krew,
Tuk bajecznych waligórów, zaród zwycięstw, zaród chwał!

* * *

Idzie — w drodze kształt swój zmienia: Apolina gładką [skroń
Na pochmurne zmienia czoło, pełne krwią nabiegłych żył,
Lutnię zmienia w pług żelazny, na siermięgę chiton muz...

* * *

Idzie — idzie — na globusie zolbrzymiałą kładzie dłoń,
Świat wywraca w jego osiach, wielkie morza w dżdżysty [pył,
Wielkie góry ziemiowładne w piarg roztrąca, w marny gruz.

V.

Śnie młodości! przez szarugi, przez bijący w oczy śnieg
Skrzydłem wiary prułeś przestwór, który nie znał, co to [kres:
U piór twoich tłum nie jeden i nie jeden zawisł wiek,
Gad nie jeden cię owinął i nie jeden warknął pies.

* * *

Czem był tobie płacz najdroższych? czem szyderczy śmiech [i stek
Ośliniałych klątw motłochu? Czem był tobie Bóg czy [bies?
Mknąłeś, groble rwąc i mosty, parłeś z hukiem górskich [rzek —
Wrzała moc w twej rajskiej krasie, boś był z ludu krwi [i łez...

* * *

Śnie młodości! wracasz znowu? Ha! wyrzuty płyną-ć [z ust?
Poorane masz oblicze? z czoła ścieka zimny pot?
Stój... Weronik daj mi łaskę, zmień mą duszę w szmat [ich chust —

* * *

Zostaw ślady swego lica!... Wszakże w mgle jesiennych dni
Nie straciła swego blasku, mimo wichrów, mimo słot,
Matka twoja, duma święta, żem jest z ludu łez i krwi.

VI.

Dmij wichuro! Z zwiędłych koron te cmentarne drzewa [łuszcz
I w szalonej mieć zawiści coraz wyżej na mój grób!
Dmij, wichuro! strzaskaj płytę, nieśmiertelny połam buszcz,
Nasyp z gliny zrównaj z ścieżką dla zawziętych, marnych [stóp.

* * *

Z korzeniami wyrwij jodłę, przeniesioną z gęstych puszcz,
Próchniejące kości roznieś — suche kości to twój łup,
Lecz nic więcej! ten, co sycił moją pieśń, żywotny tłuszcz
Wsiąkł już w rolę, już z nią zawarł niezniszczalny, [wieczny ślub.

* * *

---

Pani Adamowa mieszka w mieście, ale tak jakby na wsi, dom jej bowiem położony przy samej rogatce, tonie w zieleni ogrodu, ma obszerne podwórko i zabudowania gospodarskie, w nich dwie krowy specjalnie dla masła i śmietanki, gdyż te produkty na targu bywają zwykle fałszowane; — parę starych wypasionych klaczy, ponieważ dorożkarskie bywają zwykle narowne i niebezpieczne. Jest wreszcie w tych zabudowaniach i na podwórku dużo drobiu, bo ten, co na targu, licho wie czem bywa pasiony,

Wogóle pani Adamowa lubi mieć wszystko swoje, własne i pewne.

Ma też: listy zastawne, emeryturę po nieboszczyku mężu, porządny dom z ogrodem przy rogatce i dość liczne kółko znajomych i przyjaciółek.

Ponieważ, jako osoba wiekowa i podupadła na nogi, niechętnie fotel opuszcza, a towarzystwo bardzo lubi, przeto przyjmuje u siebie łaskawych znajomych codzień, oprócz piątku, o godzinie czwartej po południu, a niezależnie od tego, w niedziele i w święta zaprasza na preferansa, za którym przepada.

Na podwieczorki do pani Adamowej przychodzą przeważnie damy, chociaż zdarza się, że zabłądzi niekiedy i jaki przedstawiciel płci brzydkiej, ale to najczęściej z prowincji, gdyż miejscy panowie lubią o tej godzinie sypiać, aby mieć siły do resursy. Na preferansa przychodzą znów przeważnie panowie i to dobrzy, doświadczeni gracze, gdyż pani Adamowa z takimi tylko lubi do zielonego stolika zasiadać.

Jest dzień letni, godzina 4-ta po południu, w pokoju jadalnym okna otwarte, wpada przez nie miłe powietrze z ogrodu; czuć rezedę, lewkonję i gwoździki. Stół nakryty białym, jak śnieg obrusem, zastawiony porcelaną i srebrem; aromatyczny zapach kawy mięsza się z zapachem poziomek, na srebrnym koszyku piętrzy się góra ciasta.

Oprócz gospodyni domu znajdują się tu cztery osoby: pani Janowa, pani Michałowa, panna Eugenja i pan Dulski z Trznadlina, wioseczki położonej o kilka mil drogi od miasta, najbliższy sąsiad Letkiewicza.

Panie opowiadają o nowinkach miejskich, gdy je wyczerpały, zapytują, co na wsi słychać.

Dmij wichuro! dmij bez miary! Widzisz, jak się spełnia cud?
Rój żniwiarzy zbiera plony, co wyrosły z moich dum!
Przygłuszyłeś moje imię — pamięć w ciemną-ś strącił noc —

* * *

A mych zwątpień, mych zachwytów niedaremny wszak był trud —
Kłosom z moich ziarn powstałym błogosławi boży tłum:
W mych zwątpieniach, w mych zachwytach była jego krew i moc.

*Jan Kasprowicz.*

# PO WYROKU.

FANTAZJA NA TLE PRAWDZIWEM.

(Ciąg dalszy.)

Było to pełne poezji i serca wierzenie ludowe! zaiste pełne naiwności i uroczej prostoty... Rozgoryczyło mię ono do ostatecznych granic.

Jakaś obca siła popychała mię nieprzeparcie ku murom więzienia. Szłam tedy szybkim krokiem, to znów stawałam wahająca się, cofająca, lecz w końcu dążyłam dalej i dalej — za miasto, ku białemu czworobokowi. Stanęłam wreszcie na wielkim placu przed murami ciężkiego budynku, lękliwym wzrokiem mierząc zakratowane okienka.

Może on stoi przy któremś z nich i gorączkowym wzrokiem przebija kraty żelazne i zamglone szyby? Może spojrzenie to wytężone tkwi nawet we mnie w tej chwili?! I może myśli, nieszczęsny, że i ja, również jak inni, błądzę tu w słodkiej nadziei dowiedzenia się o czasie »egzekucji« — i podsłuchania, czy już nie wznoszą szubienicy?

Ohyda!... Cofnęłam się przerażona. Mój Boże! gdyby on wiedział, że ktoś tak mocno cierpi nad jego losem! Nad tem, że ma być wykonana kara śmierci nad człowiekiem — i że w danym razie, człowiekiem owym — jest on!... Możeby mu nieco lżej się zrobiło, choć na krótkie mgnienie oka. Katusze podzielone, cierpienia odbite, odzwierciedlone w sercu pełnem żalu, ludzkiem i litościwem!... Boże, gdyby się znalazł jaki środek do przesłania mu tego współczucia — mój Boże! gdyby się znalazł środek taki! — Beznadziejność przykuwała mię wprost do ziemi. Siły nie miałam stąd odejść, tak trudno mi się było pogodzić z tem, że nic nie mogę, nic nie zdołam...

I oto raptem musiałam komuś usunąć się z drogi. Brama więzienna otwarła się szeroko i ukazał się w niej oddział żołnierzy, szybko maszerujących. Gdy mnie mijali, jeden z nich, czerwony i wąsaty, obrócił się, wpatrując się we mnie ze zdziwieniem. Potem nieznacznie skinął mi głową i zlekka się uśmiechnął. Z nagłą jakąś, niewytłumaczoną radością, poznałam w nim starego Piotra, podoficera, dawniej ordynansa

---

— A no, pani dobrodziejko, odpowiada basowym głosem pan Dulski, na wsi, jak na wsi, dobrze, że daj Panie Boże wytrzymać! pana Stanisława niedługo mają licytować...

— Czy być może? — zawołały naraz wszystkie panie... Pisankę sprzedaje?!

— O tak, trafia się to niekiedy...

— Taki śliczny folwarczek! Ciekawam, co teraz uczyni biedna Stasiowa, gdzie się podzieje z dziećmi?

— Albo ja wiem, łaskawa pani, albo ja wiem... Kogo Pan Bóg stworzył, tego nie umorzył; będą musieli jakoś biedę klepać. Zresztą pan Stanisław ma bogatych krewnych...

— Jakich krewnych? gdzie? przecież jestem jego rodzoną ciotką i wiem, że nikogo nie ma z bliższych, wszyscy już pomarli, oprócz mnie jednej.

— To też właśnie powiadam, — rzekł szlachcic.

— Co właśnie?

— Ano, że pani dobrodziejka, jako tak blizka, zginąć Stachowi nie da. Dobry to w gruncie rzeczy człowiek i mówiąc między nami, szkoda by go było...

— Chryste Jezu! Ja miałabym go ratować? tego Letkiewicza?! A, panie Dulski, jeszcze mam do tej pory zdrowe zmysły.

— A cóż to ma do zmysłów, pani dobrodziejko... zdarza się przecież, że ludzie ludzi ratują w potrzebie...

— Ludzi, ale nie Letkiewiczów, — odrzekła pani Adamowa... A może on przez pana robi mi taką propozycję?...

— Słowem uczciwego człowieka zapewniam panią, że nie, — owszem, podsuwałem mu tę myśl, ofiarowałem nawet pośrednictwo, ale odrzucił, słuchać nie chciał...

— Proszę!

— Nie chciał — niech mi pani wierzy.

— I cóż powiedział?

— Że nie chce...

— No, ale musiał to w jakiś sposób sformułować... Zapewne wyraził się tak, że pan mi tego nie może powtórzyć...

— Owszem, mogę, jeżeli pani sobie życzy.

— Więc?

ojca mojego, kiedy był jeszcze lekarzem wojskowym. W dzieciństwie huśtał mię i uczył maszerować, a teraz każdego święta przychodził do nas w gościnę.

Więc Piotr tam bywa! więc należy do straży, która pilnuje wyjątkowego przestępcę. Możeby mógł więc dopomódz?... Nadzieja słaba — ale kto wie? może?... Gdyby!...

Więc... więc gdyby nawet można było przez Piotra z nim się skomunikować, — to cóżbym ja, cóżbym ja mogła uczynić? Ha — trzeba się nad tem zastanowić. — Usiłowałam myśli swoje bezładne wziąść w kluby, uczynić je posłusznemi swej woli.

Nie! — jest to szaleństwo! cobym ja do niego mogła napisać (gdyż taką tylko drogą mogłabym się najwyżej z nim skomunikować) — ja, obca, nieznana, nie współczująca nawet czynowi jego, — tylko litująca się nad nim bez granic! Gdybym nawet w wyrazach najgorętszych usiłowała mu wypowiedzieć swój żal i pragnienie, by się pokrzepił i spotkał los swój z mniejszą choć w cząstce rozpaczą, — możeby nie mógł nawet zrozumieć moich chęci. Wziął by mię może za istotę, lubującą się w wyjątkowo silnych wrażeniach (bo i ten sport się przecież uprawia), egzercytującą się w kunszcie wywoływania ich nawet takimi listami! Wziąłby mię może po prostu za psychopatkę... I w takim razie byłaby to naturalnie chybiona, dziwaczna jakaś próba, coby nietylko celu swojego dopiąć nie mogła, ale, odwrotnie, — do wszystkiego, co przecierpiał, dodała by jedno jeszcze przykre i niesmaczne wrażenie.

Ale nie! cóż znowu?! mylę się, zapędzam się za daleko. W najgorszym razie wydałoby mu się to, przy jego teraźniejszem usposobieniu, jakąś drobnostką — o tyle nikłą i małą, że po chwili by o niej zapomniał. — Za to, jeżeli... jeżeli choć odrobinę pocieszy go to i uspokoi?...

Ależ będę, pragnę, muszę spróbować, bo potem... kiedy już wszystko się skończy, czuję, że darować bym sobie tego nie mogła! Mam jakiś instynkt, jakieś poczucie nieokreślone, iż winnam to uczynić, jeżeli zdołam tylko. O gdybyż! Boże — gdyby się udało!

A więc rzecz postanowiona ostatecznie. Poczekajmy, — raz jeszcze zbierzmy te myśli błędne, rozstrzelone, wzburzone. Tak... muszę iść zaraz do koszar — i zdobyć od któregoś ze starszych oficerów pozwolenie widzenia się na chwilkę z Piotrem. Wiem, że to możliwe. Posyłaliśmy już nieraz z poleceniami do niego, — wolno mu było zawsze wyjść i rozmówić się z przychodzącymi.

Po chwili byłam już przed koszarami, dowiedziałam się, od kogo to zależy, zdobyłam pozwolenie — i oto jestem z Piotrem o parę kroków od budynku, przy drzewach alei, które także, zda się, wyprostowanym, żołnierskim szeregiem zmierzają ku miastu.

— Mój Piotrze, mam czasu mało, a ważną do was prośbę. Bardzo, bardzo ważną!

— Do usług pani. Jeżeli tylko będę mógł i potrafię, to przecież zrobię z pewnością. Jakżebym mógł odmówić?

— Czy byliście przy skazanym?

— Tak jest. Przed chwilą właśnie ukończyliśmy nasz dyżur. Tylko dwie zmiany wybranych żołnierzy go pilnuje.

Pochyla się konfidencjonalnie do mego ucha i mówi cicho:

---

— Powiedział temi słowy: — »Dziękuję ci, kochany sąsiedzie, za życzliwość, ale cioci Adamowej dajmy pokój. Zacności to kobieta i serce ma złote, więc pocóż ją martwić?«

— Tak się wyraził?

— Słowo w słowo pani powtarzam, a zna mnie pani, że nie kłamię.

— Jak to jednak czasem i w pustej głowie coś błyśnie. Oczywiście, gdyby prosił, musiałabym odmówić, a to zmartwiłoby mnie ciężko... On wie, że ja mam dobre serce. Nie wymawiam, ale nieraz tego doświadczył. Gdy stracił rodziców, — powiadam państwu, to było okropne, oboje umarli w jednym kwartale!! Otóż, gdy stracił rodziców, wzięliśmy go chwilowo do siebie. Co ja temu chłopcu w głowę nakładłam, wszystko na nic! Mówię: Stasiu, jesteś sierota, bądź więc zawsze spokojny, cichy i gładko uczesany... Myślicie państwo, że słuchał?... Spokojny był, jak kobiałka za wozem, a głowa! istne wronie gniazdo! Prosiłam męża, żeby go kazał ostrzydz króciutko, przy samej skórze. Rzeczywiście, przez jakieś trzy tygodnie był podobny do ludzi, ale później... prawdziwy jeżozwierz!

— No, to pani dobrodziejko, jeszcze nie zbrodnia.

— Ale nieporządek, panie łaskawy, a nieporządek prowadzi do najgorszych następstw. Trzeba było widzieć jego krawat! Myślicie państwo, że kokarda z przodu? Nigdy, zawsze z tyłu, albo z boku, jeżeli nie za uchem. U kamizelki miewał zaledwie dwa guziki, u surduta jeden dziś kazało się przyszyć, jutro znowuż to samo! Wszystko na nim trzymało się na sznureczkach i rzemykach, a gdy raz w nocy przejrzałem jego kieszenie, ażem krzyknęła z podziwu!... Czego tam nie było?! Kreda, gwoździe, chłopski kozik, kawałek siarki, ołówki, chleb, stare bułki, pusty kałamarz, złamana linja, pudełko po papierosach, czerwona farba, piłka, masa sznurków, kawałki drzewa, guziki mosiężne, szkło z okularów...

C. d. n.

— Niech pani tylko nikomu nie mówi, bo to kazano zachować w sekrecie, — ale ja wiem, że pani nie taka, żeby powiedziała. Pojutrze o czwartej z rana egzekucja. I wtenczas znów nasza kolej pilnować i na śmierć go prowadzić..

— Ach! Boże miłosierny! więc jeszcze ta noc i dzień jeden... Ach, Boże miłosierny!

— Czy pani go żałuje? Toż to zabójca, zbrodniarz!

— Ja go nie uniewinniam, mój Piotrze...

Idąc tu, łamałem sobie głowę, jak trafić do niego, jak przemówić. Wiedziałam oddawna że pochodził z rodziny sekciarzy, nie uznającej krwi rozlewu, że ojciec jego, wygnany wraz z innymi, umarł na obczyźnie. Syn zaś, chociaż wychowany jako członek kościoła oficjalnego, zachował jednak wiele reminiscencyj teologicznych i adorował specjalnie pewnego kapłana, dobrego znajomego mego ojca.

To też zwróciłam się do niego:

— Powiedzcie mi, czy dobrym jesteście chrześcijaninem? Czy słyszeliście o tem, że i sami grzesznicy winni się modlić za siebie i że nam wszystkim należy zanosić modły do Boga, by im odpuścił, jak Chrystus czynił na krzyżu, gdy za złoczyńców się modlił...

— Jużci — to rzecz wiadoma. Czytuję przecież każdego święta księgi nabożne — i księża o tem gadają.

— Więc o to mi właśnie chodzi, z tem się udaję do was, mój dobry Piotrze. Czyby się sposób jaki nie znalazł, żeby ten grzesznik nieszczęsny... odczytać mógł... słowa, dla takich przestępców ułożone! Wiem o tem od... księdza Stefana, zacnego i świętego staruszka, którego sami dobrze znacie. Sam by chciał może przestępcę odwiedzić i dać mu tę pociechę; lecz wiecie, że leży chory. To też, zobaczywszy was, pomyślałam, że mi dopomożecie — i poleciałam was szukać. Wiecie jak ostre są przepisy więzienne; — dadzą mu wprawdzie spowiednika, lecz są i ludzkie pociechy, idące wprost z serca... Pewnie też sam Pan Bóg dopomógł mi was spotkać... Ojciec Stefan z pewnością kazałby nam tak zrobić! — mówiłam błagalnie, wpatrując się w spokojną żołnierską twarz Piotra.

— Więc jakże to, nie rozumiem, — czy mam pójść do pana komendanta i powiedzieć...

— Broń Boże! broń Boże, mój Piotrze! oni zaczną pisać rozmaite papiery — zapytania, raporty, — a nim decyzja nastąpi, będzie już z pewnością za późno. Rozumiecie?

Długo przekładałam, prosiłam i tłumaczyłam, że przecież nic karygodnego w kartce tej nie będzie, prócz słów pociechy i nadziei na niebo. Stanęło wreszcie na tem, że »modlitwę«, spisaną na drobnym świstku, poniesie Piotr jutro w dłoni zaciśniętej o czwartej z rana, gdy pójdzie znowu na zmianę, — i wręczy ją skazanemu, wchodząc jak zwykle do celi jego więziennej, ponieważ, jako podoficer zaufany, funkcje te wypełniał na dyżurze. — Chciał mi coś o nim opowiadać, — lecz zatknęłam uszy, drżąc cała. Czułam, że nic już teraz słyszeć o tem nie mogę. A jednak było za późno, bo słuch mój pochwycił mimowoli: »chodzi z kąta w kąt jak szalony... płacze... nic nie mówi... o nic nie prosi... młody... mizerny jak mara..«

Smagana słowami temi, rzuciłam się do domu. Po godzinie już miałam być w kaplicy katedralnej. Piotr miał przyjść tam także i list mój zabrać.

Zamknęłam się na klucz (chociaż to było zbyteczne, bo mąż mój, technolog, całe dnie spędzał w podmiejskich fabrykach) — i dostawszy z biurka zwoik cieniuchnego papieru chińskiego (darował mi go niegdyś znajomy marynarz), oderwałam kawałek, rozcięłam go wzdłuż na dwoje — i na tej długiej, wąskiej wstążce — poczęłam pisać szybko, bez namysłu miniaturowym ołówkiem, wydobytym z notesu. List ten dyktowało mi wyłącznie serce. Roboty myśli nie odczuwałam wcale.

Pisałam:

»Ośmielam się pisać do Ciebie, cierpiący' biedny mój bracie, gdyż taką czuję potrzebę tego' jak gdybym była matką, siostrą lub żoną twoją. Piszę dla tego też tylko jedynie, że listów od swej rodziny, jak mi wiadomo, nie otrzymałeś dotąd. Wierzę zaś mocno, że listy takie, w smutnych godzinach, chociażby od obcych, lecz współczujących ludzi — ulgę przynoszą. Nie dziw się, nie dochodź, jaką drogą wpadłam na myśl napisania do Ciebie. Tylko się dowiedz i uwierz głęboko, że tak boleję nad twym losem, tak nad nim cierpię sztraszliwie, jak gdybym znała cię i kochała, jak brata najmilszego. Żal mi Cię niewypowiedzianie, okrutnie. I gdybym mogła, byłabym teraz przy Tobie, dłonie bym Ci ściskała, płakałabym i pocieszała Cię gorąco. Pokrzepiałabym Cię może nieumiejętnie, niezręcznie, jak i w tym oto liście, ale z oddaniem się serdecznem, z pragnieniem gorącem, by Ci lżej było, spokojniej. Błagałabym Ciebie, ażebyś los swój zechciał uważać, tylko za wcześniejszy wprawdzie, lecz za ten sam koniec nieunikniony, który nas wszystkich czeka, którego lepiej nawet może dosięgnąć jak najrychlej, niż brnąć ku niemu stopniowo przez błoto ziemi i potok własnej krwi serdecznej... Jedna to krótka, błyskawiczna chwila, bez porównania lżejsza od tego, coś teraz już przecierpiał i cierpisz jeszcze! Nie męcz się dla niej już więcej! Wystaw też sobie, iż każdy moment na ziemi jest hasłem śmierci dla mnóstwa istot, dla całego świata,

z którym dzielisz los swój, na pozór tak wyjątkowy. Przypomnij sobie, jeżeli możesz rozmyślać, o wszystkich, co przyjmowali losy podobne Twojemu — z obojętnością i mocą!

Jeśli Cię mimowoli listem swym zranię, jeżeli Cię oburzę śmiałością wystąpienia tego — wybacz i nie myśl, ani chwilki o tem, — zapomnij. Tylko mi zechciej uwierzyć, iż zawiniłam nieświadomie — i że powoduje mną chęć nieprzeparta — przynieść Ci ulgę, żal Ci serdeczny wyrazić, żal istoty obcej, lecz bliskiej Ci uczuciem.

Jeżeli... może zechcesz... spojrzeć przed siebie... wtenczas... by mieć gdzieś blisko.. twarz czyjąś przyjazną i taką, jąkąby musiała być w owej chwili twarz siostry Twojej — rozkaż, a przyjdę. Żebyś mię poznał, włożę na szyję szarfę bia'ą z końcami do samej ziemi.

Jeżeli uznasz list mój za wystąpienie szalonej, nie odpowiadaj na niego. Jeżeli zaś zrozumiesz go i odczujesz, odpisz choć jeden wyraz. Oddawcy zaś powiedz, że to dla ojca Stefana«...

Skończyłam i nawet nie rzuciwszy okiem na ową wstążkę cieniuchną, urwałam drugą podobną, złożyłam je obie razem i poczęłam obwijać niemi szczelnie drobny ołówek z notesu, natemperowawszy go uprzednio ze szczególną starannością. Ręce mi drżały, głowa pałała, ale czyniłam to przytomnie i rozważnie. Nareszcie papierowe wstążki przylgnęły jak wklejone do ołóweczka, a szczupły miniaturowy rulonik, przypominający bilet loteryjny, znikł w mej drobnej pięści kobiecej.

(C. d. n.). *Janina Baudouin de Courtenay.*



# Z ruchu społeczno-literackiego we Francji.

(*Almanach de la Question sociale* na r. 1896. — *Magazine internationale.* — *La revue feministe.*

(Dokończenie).

»Magazine Internationale« nie jest jedynym wysiłkiem, podejmowanym dziś dla zbliżenia narodowych literatur. Paryż coraz bardziej staje się ogniskiem wszelkiego rodzaju ruchów rewindykacyjnych; mimo centralizmu oficjalnego, liczba członków czynnych sprawy federacji powszechnej, będącej następstwem i uzupełnieniem zniesienia poddaństwa we wszelkich jego postaciach — wzrasta z dniem każdym. Pisma francuskie służą sprawie samorządu narodowego, sprawie pokrzywdzonych praw mniejszości społecznej, mniejsza o to — czy z idealnych pobudek, czy dla interesu. W każdym razie młode przeglądy od pewnego czasu są trybuną dla Strindbergów, Hansenów, Hamsunów, Tołstojów i t. d. Są nawet organy, które — jak »Revue des Revues — na tej międzynarodowości robią duże interesa. W »Magasine Internationale«, prowadzonym przez siły młode i sympatyczne, znajdziemy prawdopodobnie gorliwego apostoła »powszechnego obcowania«.

Z kolei słów kilka należy się ruchowi kobiecemu. Kodeksy francuskie, a bardziej może jeszcze nastrój społeczeństwa, zgotowały kobiecie tutejszej, dolę trudną i upokarzającą »We Francji panuje opinja, lecz rządy sprawia rutyna«, powiada gdzieś Manouvrier. Otóż opinja jest tu pełna przesądów względem kobiety; rutyna zaś zarówno w prawie, jak i w zwyczajach jest bardziej barbarzyńską, niż wśród społeczności Wschodu. Właściwie, powszechnie i jedynie niemal znaną formą swobody kobiecej jest tu wyuzdanie — po za tem, czy to w rodzinie względem męża, czy w prawie cywilnem względem mężczyzny, czy na targowisku ekonomicznem względem konkurenta, czy nawet w szeregach partyjnych względem towarzysza broni — jest kobieta francuska zawsze upośledzoną. Nie będę zresztą wdawał się w szczegóły położenia kobiet we Francji, odsyłając ciekawych do broszurki informacyjnej, wydanej nakładem Federacji francuskiej Towarzystw kobiecych*) oraz do nowego organu sprawy kobiecej p. t. »La Revue Féministe. Redaktorką pisma jest pani Klotylda Dissard, a duszą jego p. Marja Szeliga-Loevy. Nowy organ feminizmu francuskiego zgromadzi wszystkie wybitniejsze siły kobiece Francji, a z biegiem czasu i zagranicy. Słynna fejletonistka francuska, Séverine, stanęła również w szeregu »feministek«. W piśmie znajdujemy bardzo ciekawe artykuły o politycznem położeniu kobiety współczesnej (p. Luiza Frank), o jej roli ekonomicznej (p. Alina Valette — członek Rady narodowej Francuskiej Partji Robotniczej), dane statystyczne o położeniu kobiet w rozmaitych krajach, notatki o ich udziale w nauce, literaturze itp... Tysiące, a raczej setki tysięcy kobiet publicznych, głodne armje wyzyskiwanych przez mężów, kochanków, a bezbronnych wobec prawa, robotnic usprawiedliwiają aż nadto łączenie się kobiet w grupy specjalne. Nieraz słyszeć się dają utyskiwania na »feminizm« — w imię

*) Cahier des doléances féminines. (Paris, 1893) oraz sprawozdania z międzynarodowego kongresu kobiecego z r. 1892.

jakoby krzywdzonych w ten sposób ideałów ogólno-ludzkich, a przeciw rzekomemu szerzeniu antagonizmów między płciami. Argumenty te przypominają mocno sentymentalny jezuityzm walczących w imię tychże »ideałów ogólno ludzkich« z prawowitemi dążeniami ludu roboczego. Tam również związki profesjonalne, związki robotnicze mają podobno szerzyć antagonizm i niezgodę klasową. Jedna jest na to odpowiedź: tam, gdzie prawa i obyczaje degradują z człowieczeństwa jakąś grupę społeczną — grupa ta musi zacząć właśnie od obrony swych interesów profesjonalnych, bo w nich najboleśniej bywa pokrzywdzoną jej godność ogólno-ludzka. Przez to stadjum profesjonalizmu wojującego musi przejść i sprawa kobieca. Młodzieńcom - konkurentom, którzy drżą z obawy, że budząca się do obrony praw swych kobieta straci na »urokach kobiecości«, polecamy przeczytać wytworny list pani Dissard »do narzeczonej«. Ile słodyczy, ile cnót niewieścich i dziewiczych wdzięków mieścić może ideał kobiety, — tyle pięknych ustępów poświęca im dyrektorka strasznej dla epouseur'ów »Revue Feministe«. Uspokoi ich również p. Szeliga w artykule p. t. »Dziecinne obawy«: »Słynny krawiec damski, Worth, pędzący życie wśród szelestu jedwabiów i koronek, nie stracił wszakże nic na swej »męzkości«. — Dlaczegoż mamy przypuszczać, że kobieta, zajmująca się medycyną, ma postradać swoją »kobiecość«?

Z przeglądu tych paru wydawnictw, będących wyrazem prądów, powszechnych dziś na całym świecie, czytelnik mógł się przekonać, że nie brak dziś w Paryżu środków do informowania szerokiego ogółu europejskiego o życiu i rozwoju społeczeństw najmniej nawet uprzywilejowanych. Armeńczycy, Duńczycy, Skandynawi, Grecy itp. znajdują możność wypowiadania się o obchodzących ich sprawach, znajdują nawet spraw tych wymownych rzeczników. W zakresie przynajmniej spraw kulturalnych — o politycznych pomówimy kiedyindziej — wydawnictwa, jak: »Revue Féministe«, »Magazine Internationale«, »Question Sociale«, »La Revue Blanche«, »La France Scolaire«, »Le Monde économique« itd. stoją dla nas otworem. Trzeba więc chcieć i umieć z tego korzystać.

*Antoni Połocki.*

## Przegląd pism.

»Ateneum«. — Sierpień — Listopad 1895.

W artykułach p. t. »Narodziny poety-romantyka« (Sierpień i Wrzesień) dał nam Z. Wasilewski w dalszym ciągu rezultaty swych studjów nad Goszczyńskim (por. »Bibljoteka warszawska« 1895, marzec), obejmując w omawianej pracy pierwsze 18 lat życia poety.

»Od Unny po Adrjatyk« W. Szukiewicza to notatki z podróży autora po Bośnji i Hercegowinie.

Dr. Anna Wyczółkowska, zasilająca od czasu do czasu karty »Ateneum« pracami z dziedziny psychofizjologji, w artykule »O zmyśle statycznym« zaznajamia czytelnika w sposób popularny z teorją Flourens'a, na mocy której ucho jest organem nie jednego, a dwu różnych zmysłów: słuchu i zmysłu statycznego czyli zmysłu równowagi.

Dwie króciutkie nowelki, a raczej szkice: »Zosia w Sorbonie« (Październik) i »Zamki na lodzie« (Sierpień) osnute są na tle dążeń kobiecych do wyższego wykształcenia, ogarniających coraz szersze koła kobiet. »Zosia w Sorbonie« daje kilka bezpretensjonalnych i prawdziwych scen z życia studentki paryskiej. »Zamki na lodzie« to właściwie sympatyczna tyrada przeciw dążeniu kobiet do wyższego wykształcenia, o ile wypływa ono z pobudek: karjery, wygórowanej ambicji itp. Autorka pragnie, aby naukowym aspiracjom kobiet przyświecała myśl służby publicznej, a zwłaszcza pracy przyszłych lekarek, kobiet-prawników itp. wśród ludu wiejskiego — myśl niewątpliwie zacna i rozumna.

»Tomek Baran« Wł. Reymonta, szkic na szersze zakrojony rozmiary, obraca się w kole stosunków chłopskich i wraz z powieścią Sewera »Biedronie«, którą również w r. 1894 drukowało »Ateneum«, prosi pp. krytyków literackich o odrobinę uwagi w imię interesów ogólniejszych, jako to: rosnącego ruchu ludowego i towarzyszących mu przeobrażeń w poglądach i ideałach naszej inteligencji.

W październikowym zeszycie zaczyna Wł. M. Kozłowski obszerne studjum p. t. »Manfred, hr. Henryk i Płoszowski« już samym swym tytułem budzące ciekawość czytelnika. Autor zalicza powyższe typy do typów ogólnoludzkich, bo »każdy z nich odbija w sobie pewną stronę natury naszej, każdy jest odzwierciedleniem owej »czystej treści człowieka«, która zostaje niezmienną wśród przemian ukształtowania zewnętrznego, żywiołu trwałego, ponad którym znamiona czasu przebiegają, jak fale, które toczą się na powierzchni Oceanu, nie mącąc jego głębi. Ale poza tą stroną trwałą charakteru — pisze p. K. — postaci poetyckie mają jeszcze inne znaczenie: każda epoka ma swój typ przeważny... Aby typ wieczny nie pozostał czystą abstrakcją, aby idea wcieliła się w postać żywą, niby z krwi i ciała urobioną, powinna przybrać piętno pewnej epoki i pewnego miejsca, zostać historycznie i geograficznie określoną... Każda więc większa postać poetycka jest dwoistą. Estetyka, psychologa zajmuje przeważnie pierwsza, wieczna i ogólnie ludzka strona tych postaci; historyk, filozof, śledzący rodowód dziejowy pewnego typu, powinien skupić uwagę na cechach, które dla psychologa są podrzędnemi i przypadkowemi«. Temi ogólnemi uwagami poprzedza autor analizę i porównanie tych trzech postaci, jako typowych przedstawicieli pokoleń naszego stulecia, będących przytem przedstawicielami tego, co Schiller nazwał szlachectwem ducha, a co w wieku Płoszowskiego przybiera postać »arystokracji ducha«.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.